Tom II. Nr. 12.

21. Kwietnia 1860.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.



# DZWONEK

## PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

---

## Jak Marcin Zrzęda rozpowiadał o ludzkiej biedzie.

*Spisał organista z Budyłowa.*

---

„*Pracującemu Bóg pomaga — a próżniaka bieda smaga*“ powiada przysłowie. Od moich ojców, świeć tam Panie ich duszy, zawsze to słyszałem od małego chłopięcia, a że za tą ich radą poszedłem, toć i nie źle mi na tym Bożym świecie. Chałupina moja jak się patrzy, czysto pobielona i dobrze poszyta, bo zawsze pamiętam że „*wielka to tarapata — dziurawa w deszcz chata.*“ Chudoba też u mnie ma się dobrze, okrągła gdyby gałki, bo nie spuszczę się na żadnego tam najmytę, jeno sam sobie doglądnę — więc „*pańskie oko konia tuczy.*“

Wedle chaty mam sadek co niezgorsza rodzi, że i człek się z rodziną pożywi — i nie jeden koszyk na sprzedaż zostanie. — Mam parę sznurów roli, a że „*W tem się polu dobrze rodzi — po którem gospodarz chodzi,*“ toż u mnie rzadki przednowek i nie chwalący się, jeszcze biednego sąsiada poratować się czasem zmogę.

A wiecież wy, moi chłopy, dla czego to mi tak idzie jak z płatka? bom zawsze pamiętny że: *„jak sobie pościelesz, tak się wyspisz,“* a *„jak zasiejesz, tak będziesz żął“* więc wcześnie mój grunt zorzę, żeby się na słonku wygrzał i po gospodarsku zawłóczę że grudki nie ujrzysz, i czystem ziarnem, a nie jak inni plewą zasieję w swój czas, bo: *„wszystko robi, kto wedle czasu robi.“* A przyjdzie zima, to nie jedne saneczki gnoju wywiozę na ugór, więc jak jeszcze pan Bóg pobłogosławi moją pracę, musi się urodzić.

Ale na tem jeszcze nie koniec! wszakci nie jednemu z moich sąsiadów takoż się urodzi w polu, a przecie nie na długo ma chleba — wiecież czemu? bo: *„jeszcze skóra na baranie, a już kuśnierz pije na nie“* tak właśnie i u niego: *jeszcze na pniu żyto, kiedy go przepito“* — a przytem choć się i coś zbierze, to zaraz szastu prastu, taj już nie ma, a przecie to stara jak ten Boży świat przypowiastka: *dałci Bóg dary, używaj miary!“* Ale to nie dla niego; więc zaraz po żniwach: to zwija po kiermaszach i jarmarkach, a z komina u niego to cały Boży dzionek dymi się jak w gorzelni, a żona waży kluski, i pirogi, i ziemniaki, i kaszę i licho tam wie wszystko co nagotuje dla swego mężulka, a onci żre jakby miał cztery brzuchy i ani mu dudu że: *„zgadzaj się gębo z mieszkiem“* bo *„dziś gody, jutro głody“* będą. Jeszcze miesiąc nie minie po żniwach, już po toku wiatry się gonią, a gospoś co nie dawno sprawiała bankiety, ledwie parę ziemniaków warzy w garnuszku a resztę dopycha nieżrałemi kwaśniakami. Cóż dopiero mówić jak przyjdzie zima? dopiero płacz i nędza, ale już po niewczasie.

Powiem ja teraz jak to sobie nasi od początku taką nędzę gotują: Oto młodemu parobkowi oddali rolę, dali dostatni sprzężaj i narzędzia dość i dobrego. Chodzić mu jeno koło tego gospodarnie; ale gdzie mu to tam w głowie — gdzie tam! . . . Wiosna już za pasem, ziemia podeschła już dobrze aż się prawie sama prosi, by rzucić w nią nasienie. A młody gazda wciąż, to napija w karczmie, to drze bóty i wydziera podkówki na upominkach i godach, a wciąż jak mu robota w polu przyjdzie na myśl, powtarza: *„co się odwlecze, to nie uciecze“* Oj uciecze, bratku, uciecze! — a przy roli to co dziś opuścisz, jutro

już tego nie dogonisz. — Nareszcie ostateczna już pora; więc jako tako w zarośnięty ugór rzuci nieczyste ziarno, co połowa w niem plewy — a i z tą pracą pora się jaki tydzień, nim zawłóczy. *„Jaka ochota, taka i robota“* — ziarna z połowę ptaki wydzióbią, a co zostanie, to już strupieszałe i dobrego plonu nie wyda.

No, dzięki Bogu, już przecie skończył siejbę. Do nowego chleba jeszcze daleko a nasz gazda zamiast pójść na zarobek, wciąż hula i bankietuje; a baba jego to potrzebuje kraciastej chustki by się przecie uczciwie pokazać w kościele, kiedy kościelny świeczki gasi; to inne stroje by było w czem potańczyć w niedzielę na gospodzie. Więc żyd za lichy pieniądz zabiera sznur po sznurze zielonego jeszcze zboża — a przyjdzie żniwo, bardzo a bardzo mało jest do zbioru. Mój Boże! żebyć choć to co jest, jakoś po ludzku zebrać — gdzie tam! gospodarz to *„przy pracy oziębnie, a przy misce się spoci“* — kobietę zaś to krzyże bolą, to coś niedomaga, i robota ciągnie się przez ruski miesiąc. Wreszcie co się jeszcze nie wykruszyło, zestawią w kopy, taj znów moknie na słocie i niepogodzie, nim zamizerowaną chudobą zaciągnie je nasz ladaco do stodoły, oklepie byle jako i ot — co *„Maciek zrobił, Maciek zjadł,“* za parę niedziel ani znaku, czy było żniwo.

A tu żona powiła — trza sprawić chrzciny i poić kumów choćby tydzień. Więc żyd za podłe wódczysko bierze rolę pod zimowe zasiewy.

Nadeszła zima, chleba ani w ząb, ani też ma czem wyżywić chudobę. Sprawdziłoć się zaraz na nim przysłowie: *„kto w lecie nie zbiera, w zimie głodem przymiera“* — wypada się jakoś ratować, więc halo do żyda: zastaw kożuch, sprzedaj byka od pługa, sprzedaj i kobyłkę coby ci lada dzień przyniosła łoszę, — aby tylko było o czem przemizerować do wiosny. Nadeszła i ta — rola czeka, a tu ani czem ją sprawić, bo sprzężaj rozerwany, ni czem zasiać, bo stodoła pusta. Nuż więc z prośbą w sąsiady, by z nim siali na spółkę. Więc gdy znów przyjdą żniwa, to już zamiast pełnej stodoły i kilka brogów zapasu, ledwie przygarść słomy na obejściu się znajdzie i parę garncy nasienia w komorze.

*

*„Im dalej w las, tem więcej drzew"* — coraz większa nędza; za podatki grabią, żyd za lichwę ostatnie grosiwo zabiera.... taj już i po gospodarstwie. Gazda i jego kobieta, co im tylko było pracować na gruncie a Boga chwalić — dziś idą precz z chaty wycierać gdzieś cudze kąty.

Wprawdzie powiadają ludzie: *„co bardziej dokuczy, to rychlej nauczy"* — ale i to u nas nie prawda. Gospodarz jak na swojem był leń, tak i na cudzem jeszcze gorszy. Krzycz na niego: *„Grzegórz! — Czegóż? Pójdź robić! — Oj nie mogę chodzić! — Pójdźże jeść! — toć muszę poleść."* Taki to bywa sługa z niego; nigdzie miejsca nie zagrzeje, toć i na starość niczego się nie dorobi i koniec jego taki, że zejdzie na dziady i od jednej wsi do drugiej włóczyć się będzie po żebranym chlebie, aż póki go śmierć nie zaskoczy gdzeiś na żydowskiem śmiecisku pod karczmą....

A teraz powiedźcie mi szczerze: czy nie prawdę gadałem?

---

## Nieszczęśliwa ręka.

Było jej na imię jagódka Zosienka,
W czerwonym gorsecie to przecie tak cienka —
A oczy się skrzyły dwa węgle żarzące,
W oczach się kręciły dwie lalki śmiejące —
Gdy spojrzy na człeka, to tak cię z nóg złoży,
Że nie wiesz co począć, co lepiej co gorzej,
Czy lepiej iść za nią? nie możesz nic wiedzieć,
To jedno co pewno, że trudno dosiedzieć.
Człek wzdycha a wzdycha, a patrzy czy nie ma
Zosieńki jedynej z czarnemi oczyma.
— Hej! napój mi konia dziewczyno u zdroja —
— Nie będę ja poić, jeszcze ja nie twoja.
— Hej napój mi konia, ja ci za tę łaskę
Na targu zakupię jedwabną opaskę. —
Lecz dziewczę nie słucha, u matki jej lepiej,
A kto się przyczepił, to niech się odczepi!
Jeszcze ja za młoda, jeszcze ja nie na to,
Jeszcze mi rok braknie, dobre mi i lato...

Aleć jedną razą przyszło na niebogę:
— Matusiu! matusiu! oj! cała nie mogę.
Krakowiaczek młody jedyny chłopczyna,
Tak mi coś zaczynił, nieszczęsna godzina!
Jechał na koniku a czapkę miał z piórem,
Przyjechał gościńcem nie wiadomo którym:
Czy tym od miasteczka, gdzie przepływa rzeczka,
Czy tym od ugoru, co wiedzie do boru.
Konik był zhasany, aż biały od piany,
A chłopczyna młody, dopraszał się wody...
Jakem go ujrzała, cości mnie nagabło,
Serce moje serce, zaraz mi zasłabło;
I myślałem sobie: jak ten Bóg na niebie,
Żebyś mnie chciał ino, poszłabym za ciebie.
Jak wąsik pokręcił, czapeczki poprawił,
Takci mnie nieszczęścia na wieki nabawił.
— A jakże cię zowią, żebym wiedział przecie
Jak się zowie dziewczę najśliczniejsze w świecie?
— Zowią mię Zofiją, różą i liliją,
I zowią mnie swoją... ale ja niczyją!
Jeszcze ja dziewczyna, jeszcze matulina,
A nie parobczańska, ani żadna pańska.
— A cóże ty umiesz? niechże ja się dowiem,
To po całym świecie o tobie rozpowiem.
— Matuś powiadają: że mi się chléb darzy,
Że mam szczęsną rękę, powiadają starzy —
I zawdy mnie biorą, kiedy co sprzedają,
Sami się targują, pieniądze oddają,
A ja jeno stoję i śmieję się smieję,
I śmieję się śmieję, aż mi się coś dzieje!
Bo cóż ja też mogę, ja głupia dziewczyna,
U matki chowana, taka matulina?
Bo cóż ja też mogę? powiedźcież mi sami!
Jakem powiedziała... zalałam się łzami,
Zalałam się łzami nie z żalu, nie z bólu,
Jeno tak ze serca matulu, matulu. —
— Czekajże mnie dziewczę... gdy wiem o twej cnocie,
Zosienko jedyna wrócę ja tu do cię.
— A z którejże strony, czy z tej czy z onej?
— Czekaj że mnie proszę jak ten gaj zielony...

Będzież-że czekała?...
— Pewno że już będę,
Co rano wybiegnę, na górze usiędę;
Od białego ranka póki się nie zmroczy,
Będę ja patrzała choć wypatrzeć oczy.
— To dajże mi żywo tę rękę szczęśliwą!
I uchwycił żwawo moją rękę prawą;
Uścisnął mi rękę, podskoczył na siodło:
— O! dajże też Boże, żeby mu się wiodło.

Szumi wietrzyk szumi, drobne krzaki zgina,
Wyszła na góreczkę dziewczyna jedyna;
Wyszła na góreczkę, stanęła pod słońcem,
Obtarła oczęta fartuszczanym końcem:
Świat tobie sierocy, sercu braknie mocy,
Słońce świeci w oczy, a w duszy jak w nocy.

Wyszła na góreczkę, aż Ułani jadą;
Oczy tego patrzą czemu serce rado.
Jadą nasi jadą, z wojny powracają,
Żałobnego marsza Jasieńkowi grają.
— „Prowadzą konika żałobą pokryty,
— „Juści mój Jasieńko na wojnie zabity."
Patrzała Zosieńka jak gdyby nieżywa,
Serce nieszczęśliwe, ręka nieszczęśliwa.

*T. Lenartowicz.*

---

# SKRADZIONA KOSZULA.

Przy wielkim gościńcu z Warszawy do Lublina leży miasteczko Kurow, od tego ostatniego miasta o mil sześć podobno. W tem Kurowie był niegdyś proboszczem mąż zacny i uczony, ksiądz Piramowicz, poczciwego bardzo serca, dobroczynny i litościwy, że byłby i wszystko rozdał pomiędzy biednych. A przytem sam nie miał wiele, jak to litościwym dzieje się często, i gdyby nie stara jego gospodyni, pani Gałkiewiczowa, skrzętna i zabieżna, która o dobro jego dbała i ani dospała ni dojadła, biegając w gospodarce od świtu do ciemnej nocy — to byłby szanowny proboszcz nieraz pewnie niedostatku zaznał.

Razu jednego w maju, w dniu pięknym, pogodnym, wyszedł sobie ksiądz proboszcz z brewiarzem w pole. Modlił się do Pana Boga, spoglądając ku niebu — i aż serce rozradowało się jego, gdy spojrzał na rozległe łany ślicznej pszenicy i żytka, na zieloniutkie łąki — i jak ptastwo po powietrzu bujając, świergotało sobie wesoło, niby na podziękę Ojcu niebieskiemu. W tem nadszedł drogą żebrak zmizerowany, wychudły, żółty — istny trup chodzący, a pokrywały go tylko łachmany. Gdy zobaczył księdza, wyciągnął ku niemu rękę i drząc cały, słów kilka wymówił, o wsparcie prosząc.

— A zkądeście i dokąd idziecie? — zapytał proboszcz, podawszy mu ostatnie trzy grosze, które miał w kieszeni.

— Idę z Płocka, dobrodzieju. Byłem tam cieślą i ot, spadła na mnie belka, zgruchotała mi rękę i całego ze skretesem potłukła. — Odkrył łachman i pokazał ramię.

Ksiądz Piramowicz dostrzegł, że biedak w miejscu koszuli miał tylko kawał brudnego płatka.

— Wzięto mnie do szpitalu — mówił dalej żebrak — leżałem tam długo, chorowałem ciężko..... Tymczasem i żona mi zmarła, zmarnowało się wszystko, a teraz, chory jeszcze i kaleka, wlokę się o żebranym chlebie do brata, który jest kołodziejem w Krasnymstawie.

Zacny kapłan miał łzy w oczach: spojrzał ku niebu i westchnął — spojrzał się na ziemię, tak była śliczną i plony zapowiadała obfite — a przed nim stał nędzarz wygłodniały, bez odzienia, kaleka!... Maca się po kieszeniach — szuka — ha! drogi Kraków i za grosz: nic tam już w żadnej nie było kieszeni. — Wtem myśl jakaś, znać pocieszająca przyszła mu nagle — bo aż się uśmiechnął i pokraśniał.

— Poczekajcie tu chwilkę — wymówił do żebraka i pobiegł za krzaki blisko drogi: położył brewiarz na trzmielinie, zdjął rewerendę, ściągnął koszulę i zwinął ją w kłębek; potem znowu wdział rewerendę i zapiął ją starannie, aby nikt nie dojrzał że pod nią koszuli nie było. Podjął brewiarz, koszulę wziął pod pachę, a wróciwszy do biedaka, podał mu ją szybko — zawinął się nagle i *dyrdem* ku miasteczku pospieszył. Znać

nie chciał, by mu żebrak dziękował — i o mało, że się nad nim nie rozpłakał.

Ale idąc tak sobie ku domowi, przypomniała mu się Gałkiewiczowa — i ogarnął go aż niby strach przed nią. Zdawało mu się także, jakoby wszyscy ludzie patrzyli na niego, że to on bez koszuli zostaje. Pomknął poza płotem, cicho wszedł do pokoju — i ani już śmiał zawołać o szklankę mleka, które o tej porze zwykle pijał. W tem patrzy: o szczęście niespodziewane! — tuż przy piecu stał kosz z bielizną co tylko wymaglowaną. Ksiądz Piramowicz rzuca się ku niemu, wyciąga koszulę i ucieka do alkierza gdzie sypiał. Potem, ubrawszy się, powrócił znowu jakby nigdy nic nie było zaszło, i zawołał o swoje mleczko i kawałek chleba. Całą radował się duszą, że tak dobrze odbyło się wszystko. Ale, nie mówić to *hoc!* dopóki nie przeskoczy się rowu.

Nazajutrz, rychło bardzo, zbudził go krzyk, płacz i jakiś wielki *harmider* kobiecy. Porywa się i słucha.

— Wzięłaś, hultajko, wzięłaś! — wrzeszczała gospodyni, tupając nogami — nikt inny tu nie postał, jeno ty złodziejko! ladaco! niegodnico! wszyscy wciurnascy niechaj ciebie porwą! Nie daruję, nie daruję!

Na te wykrzykniki odpowiadała dziewka potulnym głosem, zanosząc się od płaczu:

— Widzi Bóg... Matka Najświętsza... Wszyscy Święci... anim widziała... anim się dotknęła... O święty Antoni zmiłujże się!

— Właśnie wraz! Swięty Antoni będzie się, oj, nad złodziejką litował! Jeszcze nie co? — krzyknęła znowu pani Gałkiewiczowa. — Widziciesz ją, onę złodziejkę, hultajkę, ladaco! Pójdziesz, oj, pójdziesz ty zemną do pana burmistrza: do komórki, w dyby, rózgami, rózgami tobie! To ciężka praca moja a własność dobrodzieja! Jużes i sumienia nie miała, niegodliwa, tak dobrego pana okradać. Nie daruję! nie daruję!

— Jak Boga kocham!... Przysięgam... anim płatuszka jednego nie wzięła...

Pot zimny oblał czoło zacnego k ana: koszula to, nie-

szczęsna koszula! bo już i wiedział o co tam chodziło. Przyodział się szybko i nagle pomiędzy kobietami stanął.

— Cóż się stało? — zapytał niemal bez tchu.

— Ta niegodziwa, hultajka, ladaco, dobrodziejowi, oj, koszulę z tego tutaj ukradła kosza! — zawołała gospodyni i rozkrzyżowała się przed nim, a dziewka głośno ryknęła i jednego słowa wyrzec nie zdołała.

— To nie ona, nie ona! Nie obwiniaj niesłusznie, kobieto! To przecież ja... ja sam wziąłem, — wymówił proboszcz, uderzając się w piersi.

— Jakto! Dobrodziej? — przeżegnała się kobieta.

— Powiadam, że ja!

— A gdzież wczorajsza koszula?

— Dałem ją ubogiemu... nędzarzowi — odrzekł kapłan cichym głosem, zapłoniony całkiem.

Pani Gałkiewiczowa przeżegnała się znowu, upadła na kolana, zmówiła modlitwę — a potem rzuciła się dziewce na szyję i z płaczem przepraszała ją za posądzenie niesprawiedliwe.

— Święty Antoni rychło mnie wysłuchał! — wyrzekła dziewczyna pokornie.

— Ale ktoby też był pomyślał, że to sam dobrodziej... — wymówiła gospodyni, pokręcając głową — chociaż ja wiem jaki to dobrodziej: ostatnią przecie oddałby koszulę.

— No, no, cicho już o tem! A proszę nie gadać nikomu o tych sprawach domowych! — zawołał proboszcz odkrząknąwszy sobie. — Trzymać język za zębami, aby świat nie wiedział o waszych babskich swarach.

Właśnie też i na mszę św. zadwzoniono.

**Paulina z L. Wilkońska.**

---

# PTASZKOWIE

***jako nam z Bożej łaski służą w gospodarstwie.***

Dokończenie.

---

Kiedy sobie już ksiądz proboszcz usiadł na ławce, zaczął dalej prawić Maciejowi o ptaszkach bardzo ciekawe rzeczy.

— Takto, tak — narzekał ksiądz proboszcz — psujecie gniazda ptaszkom, wybieracie młode, albo często ni z tego ni z owego zabijacie to Boże stworzenie, co dla was pracuje. Nieraz ja to widział, mój Macieju, rozpiętą sowę na twoich wrotach. A nacóż to się zdała taka psota? —

— Oj proszę Jegomości — bronił się Maciej — dyć to sówsko to już na nic nie może być człowiekowi przydatne.

— Źle mówisz Macieju — zawołał ksiądz proboszcz — a tożto grzech mordować zwierzęta byle dla jakiejś igraszki! A potem, sowa i myszołówka to są twoi *polowi.* Dlatego musisz strzedz żeby ta byle kto nie tłukł te biedne ptaki. A któżby ci to pole od myszów oczyszczał żeby nie myszołówka? A w stodole przez zimę, oj! niewiele by ci się ziarna zostało żeby nie sowa, co ci umie nocą lepiej jak kot myszki wynajdywać! Widzisz więc, żeś nawet nie wiedział, jakto się starają o ciebie te ptaki. Boisz się jeno jak ci sowa pod wieczór na dachu zachuczy, i wołasz: *zabić złowroga!* A za co? Złym ludziom się tylko wydaje, że ich już śmierć za kołnierz łapie, i dlatego lada sowy się lękają. A zkądżeby ona wiedziała o twej śmierci? W Boskim jest to ręku, i nikt o tem nie wie.

— Oj prawda, prawda! — rzekł Maciej i smutnie pokiwał głową.

— Masz też także dwóch *gajowych* — mówił dalej ksiądz proboszcz — a ci gajowi to są: dzięcioł i kukułka. Mówią ludzie co się nic na tem nie znają, że dzięcioł psuje drzewa. A zkądżeby? Toż się ów ptak przecie drzewem nie żywi, tylko robaczkami co po drzewach wiercą. Kiedy póka dzióbem, to straszy robaki; a jak się jeno który pokaże, to łap! już go ma. A nie podaruje żadnemu, ażeby się niewiedzieć jak spraszał, ani się ta przekupić nieda jak inny gajowy. Pomaga ci ano, żeby czerwie do czysta drzewiny nie zjadły. A już dlatego dzięcioł najlepszym ci jest gajowym, bo on wie najpewniej, które drzewo całkiem zdrowe, a które nadpsute. Możesz ano na śmiało takie drzewo wycinać, gdzie dzięcioł często puka i czerwie straszy; bo jakby długo jeszcze postało, to już nic z niego. Razem z dzięciołem pilnuje ci lasu kukułka. A nie ma już od niej gorszego nieprzyjaciela na wszystkie gąsienice. Żeby tam nawet niewiedzieć jakie

kudłate i paskudne, to wszystko wyzbiera. A jestci jedna gąsienica po lasach sosnowych, co setne szkody robi. Czasem nawet tak ci las do czysta obeżre, że musi usychać na bezrok. Więc najlepszem lekarstwem na te gady jest kukułka, bo to ptak bardzo żarłoczny i co się jeno obróci, to już parę gąsienic nie ma. Będzie lat temu parę, w jednem miejscu nad morzem zaczął las sosnowy bardzo schnąć; patrzą ludzie — aż to owe gąsienice mu tak dogadzają. Zaczęli więc Niemcy przemyśliwać jak tu temu zaradzić? I jak sobie ano tak łamią głowy, zleciało wielkie stado kukułek, co już na zimę ciągnęły. Ale skoro zobaczyły co tu dla nich przysmaku, nuż się uwijać po lesie. I tak się w kilku dniach uprzątnęły, że na bezrok nie było an słychu o gąsienicach i o zarazie na sosny. Tacy to poczciwi gajowi! —

Odpoczął sobie trochę ksiądz proboszcz, a że widział jak to Macieja mocno rozciekawiło, jął mu jeszcze dalej opowiadać:

— Widziałeś pewnie nieraz, mój Macieju, jak sobie wrona na paciuku siedzi, kiedy trzodę wygonisz w pole. Cóż ona tam robi, czyto jeno tak dla zabawki? Otóż to nie siada ona dla igraszki, tylko szuka na nim gadów co go męczą — a jak potrzeba to robaka z poza skóry wyciągnie. A widziałeś także jak się pliszki, te ptaszki co je pasterkami nazywasz, koło bydła uwijają. Czasem także i szpaki. Ci ptaszkowie ano uwijają się za tem wszystkiem robactwem co bydłu dokucza i krew z nich wysysa. Więc są to także niebiescy robotnicy a twoi ***pastuszkowie.***

— Aj, aj, co też to za setne pastuchy, — zawołał Maciej uradowany.

— Na sam koniec, mówił dalej ksiądz proboszcz — ptaszki, to są *grajkowie* nibiescy, którzy nas w dzień przy pracy w polu, a wieczór po robocie śpiewem swoim cieszą. Jużto co najśliczniej śpiewają: skowronek i słowik. Skowronek furga sobie wysoko po nad rolą i świergocze a świergocze że aż się serce rozpływa. A jak się wyśpiewa co mu jeno tchu stanie, a zleci potem w bruzdę, to już zgłodniały nie podaruje żadnemu robakowi, którego tylko nadybie. Wieczór zaś wyśpiewuje słowik po trzcinach i gajach, wyśpiewuje samiczce, coby jej się nie przykrzyło w gniazdeczku młode wysiadywać. A już głos jego prześliczny całą wsią roz-

chodzi się po rosie, że aż miło usiąść sobie po robocie na ławie i słuchać śpiewania owego grajka bożego. Skowronek na *dzień-dobry* wita cię w polu i prosi pana Boga, aby ta orka i zasiew na darmo nie poszły i żeby piękne zboże porodziło się w polu. Słowik wywodzi ci na *dobranoc*, ażebyś spał z Bogiem. Może nieraz w jakim złym człowieku, co ci szkodę chciał zrobić, poruszyło się sumienie na to rzewne śpiewanie, i wspomniał sobie na pana Boga, Najwyższego Sędziego. — We winnicy pańskiej pracuje wszystko, każde stworzenie ma sobie robotę wyznaczoną, a Bóg najmiłościwszy opiekuje się wszystkiem. —

Skończył ksiądz proboszcz i podniósł się z ławki, bo już i tak dość długo przeciągła się pogadanka. Ale przypomniał sobie, że tam w polu jeszcze wróble we więcierzu siedzą; ruszył tedy z Maciejem ażeby onych wypuścić na wolne powietrze. Jak przyszli na to miejsce gdzie więcierz leżał, patrzą, aż tu wróble same sobie sieć rozplątały i jeden za drugim zmyka, że się jeno kurzy za niemi.

Podniósł więc ksiądz proboszcz więcierz ze ziemi, rozłożył, aż ci reszta z wesołem świergotaniem po czystem powietrzu się rozleciała.

— Lećcie, lećcie ptaszkowie, wy robotnicy niebiescy! — zawołał ksiądz proboszcz — lećcie pracować dla naszego dobra! Stworzył was pan Bóg do pracy jak i wszelkie inne stworzenie.

Maciej podziękował ślicznie księdzu proboszczowi za ładne opowiadanie. Przyrzekł że już krzywdy ptaszkom wyrządzać nie będzie, i da pozór żeby ich kto inny nie prześladował.

— Z panem Bogiem-że zostajcie, a pamiętajcie com wam powiedział — rzekł ksiądz proboszcz i ruszył na plebanię.

Śmiały się potem chłopy z Macieja co on wróble do więcierza łowił, ale on się oto nie srożył, jeno im powtarzał to wszystko, co zasłyszał od księdza proboszcza. —

***Grześ z Mogiły.***

# RADA

## *jak się macie zachować w czasie grzmotu.*

„Strzeżonego Pan Bóg strzeże.“

Co roku właśnie zdarzają się po świecie nieszczęsne wypadki od piornnu. Zwłaszcza z wiosną to już częste nachodzą nas burze z grzmotami, więc o nieszczęście nie trudno: może wam się zająć chałupa od piorunu, może i człek który zginąć jak go piorun porazi. Prawda żeć się to wszystko dzieje za wolą Boską, bo stoi napisano: *że bez wiedzy Ojca niebieskiego i włos ci z głowy nie spadnie.* Ale powiedziano jest także: *strzeżonego Pan Bóg strzeże!* przeto i w tym razie powinieneś się mieć człeku na ostrożności.

A jak się macie zachować w czasie grzmotu, oto pokrótce wam opowiemy:

Skoroć burza nadciąga, trzeba zaraz okna i drzwi w chatach pozamykać, żeby nie było przeciągu; na kuchni zagasić ogień i komin zatkać, kto go ma w swojej chałupie, często bowiem piorun uderza w dymiące się kominy.

Jeżeli cię niespodzianie złapie burza gdzieś opodal ode wsi czy w polu, czy na łące, tak że już nie uścigniesz skryć się przed nią do chałupy, wtedy odrzucaj precz od siebie wszelakie żelaziwo, więc: kosy, sierpy, siekiery i sam pozostań zdala od tego, a niech cię Bóg broni, abyś się miał kryć pod drzewa, pod stogi siana, lub mędle zboża.

Także jest niebezpieczno w czasie burzy przebywać w lasach, zwłaszcza gdzie są dęby, stare sosny, lipy i wierzby — w takie drzewa najczęściej piorun uderza.

Również nie dobrze jest wtedy stać na wysokich górach, gdzie dmie silny wiater. Nie radzę też podczas burzy zbliżać się do stawów, jezior, rzek, potoków i do bagien, bo woda przyciąga pioruny, toć by się łatwo i tobie tam stojącemu mogło coś dostać od piorunu.

Zdarzyć się znowu, że cię w drodze spotka burza, nie umykajże przed nią nieboże, bo to źle, ale sobie idź zwolna

krok za krokiem, choćby na to mówiąc jak z cebra lało; bo lepiej przemoknąć choć do nitki, jak się narażać na niebezpieczeństwo. Kiedy jedziesz na koniu, zleź z niego i idź sobie piechoto, bo to bezpieczniej — także na wozie jadąc, lepiej się zatrzymać i stanąć opodal wozu, aż póki burza nie przejdzie.

Jest też u nas zwyczaj dzwonienia na odpędzenie chmury. Zły to zwyczaj, bo raz że nic nie pomaga, a potem że onych co w taką burzę odważą się wyleźć na dzwonicę i dzwonić, bardzo łatwo może spotkać śmierć od piorunu. W dzwonicy i w kościoły często trafiają pioruny, zwłaszcza, gdy stoją na górze i wysokie mają wieżyce.

Padnie zaś na którego z was nieszczęście, żeć go piorun poraził, nie lamentujcie zaraz, bo nie koniecznie on już musi być zabity. A toć nie trzeba tracić głowy, ale duchem należy ratować nieboraka: więc rozebrać go do koszuli, na twarz i na piersi bryznąć kilka razy chłodną wodą, całe ciało zaraz obłożyć płachtami moczonemi w zimnej wodzie, a do głowy przykładać wodę z octem. Dobrze jest ciało obłożyć ziemią wilgotną i to het aż do plec; można go także zakopać w ziemię po szyję. W takim razie wybiera się w mokrej ziemi jamę ukośną, do niej kładzie się rażonego piorunem w postawie na pół siedzącej i dopiero przysypać go z lekka ziemią pulchną na dwie a najwięcej na trzy ćwierci łokcia grubości. — Najlepiej zaś byłoby, upuścić mu krwi z szyi lub ręki; dla tego jeśliby gdzieś nie daleko było do cyrulika, to zaraz posyłać po niego.

Na tem kończy się nasza rada, jak się macie zachować w czasie grzmotu. Przedewszystkiem zaś trzeba mieć *czyste sumienie,* aby się nie lękać śmierci. Dobrze to powiadają: *„Na złodzieju czapka gore“* — toż i na grzeszniku za lada grzmotem drzy skóra od strachu. Lękać się on gniewu Bożego i radby się przed nim skryć choć w myszą dziurę; ale to wszystko nie pomaga! przed okiem sprawiedliwości Boskiej nie ukryje go żadne miejsce, choćby najwarowniejsze. Więc zapamiętałemu grzesznikowi i największa ostrożność przed piorunem na nic się nie przyda. Jeno sprawiedliwi i czystego sumienia ludzie mogą korzystać z naszej rady.

# RÓŻNOŚCI.

*Gwiazda zagasła.* U Moskali jest jedno wielkie miasto co się nazywa *Moskwa.* Otóż w tej Moskwie na początku tego miesiąca stałać się na niebie niesłychana nowina. Było to coś na trzy godziny przed północą. Gwiazdy się wyiskrzyły na piękną pogodę, księżyc świecił jasno i po mieście kręciło się jeszcze moc luda. Ażci tu naraz powstał krzyk: patrzaj! patrzaj! — Wszystko co żyło, pozadzierało głowy do góry i poglądają ku niebu. Byłożto i na co patrzeć! jedna gwiazda, nad samiuteńkiem właśnie miastem, jak była sobie zwyczajnie malutka, tak na jeden raz poczęła się zwiększać. Po niejakim czasie, kiedy się już stała tak wielką jak księżyc w pełni, od razu zgasła i zostałać po niej jeno plama czarna na niebie. Ludziska patrzący na to dziwne zjawisko, srodze się polękli — powiadają oni że to dla nich zła wróżba, skoro nad ich starodawnem miastem, gdzie się Cary koronują, gwiazda niebieska zagasła. —

*Dwa miecze ogniste.* Także nie dawno temu w Wrocławiu, co się tak nazywa jedno miasto na pruskim Szlązku, widziano w nocy *dwa miecze ogniste* na niebie. Mieczyska ogromne aż strach było patrzeć; a były złożone na krzyż i takie czerwone jak sam ogień. —

*Czarne bociany.* Ot i u nas także się stała dziwna nowina. Na którejś tam łące pod Przemyślem widzieli ludzie dwa czarne bociany, jeno pod brzuchem miały trochę białego pierza. Rzadki to u nas ptak ten czarny bocian — po innych krajach można go częściej napotkać. Gnieździ się on po lasach, nie tak jak nasze po ludzkich chałupach; widać że nie ma takiej śmiałości do ludzi jak nasz biały. — Na nogach ma on bardzo piękną skórę czerwoną — powiadają że kozacy na Ukrainie używają tej skóry na pochwy do nożów i do pałaszów. —

*Zgoda za znaleźne.* Dwóch gospodarzy, Mikołaj i Walenty prawowali się o jakieś tam dziedzictwo. Jeden powiadał że on ma prawo do tego, a drugi znowu że nie prawda, bo to się jemu po słuszności należy. Już od kilku lat wodzili się po sądach i ani daj Boże było ich pogodzić ze sobą, tak się bardzo zaciekli.

Jednego razu wybrał się Mikołaj do miasta, aby się w sądzie dowiedzieć jak sprawa jego stoi. W mieście już był, gdy mu się naraz zachciało wstąpić do szynku. Gorzałki nie pijał bo ślubował od niej: więc kazał sobie dać szklankę piwa. Przyszło płacić: gospodarz za pazuchę gdzie miał schowane pieniądze i papiery — aż go mrowie przejęło! pieniędzy i papierów nie było. Co się nie naszukał wedle siebie, rozebrał się prawie do koszuli, obmacał wszędy... ani słychu dychu! nuż tedy w lament, że taką stratę poniósł. Wtem drzwi się rozwarły i wchodzi do szynku Walenty. Bywało przedtem nic do siebie nie gadali, a chociaż kiedy zetknęli się oko w oko, nigdy się nie pozdrowili, jeno zwyczajnie jak wilki poglądali po sobie. Ale

dziś cosik się stało dziwnego, że Walenty przemówił do Mikołaja:

— Co to wam sąsiedzie, coście tacy zafrasowani?

— Nieszczęście mię spotkało — odpowie smutno Mikołaj — straciłem gdzieś na drodze papiery i pieniądze moje.

— At, rzeknie znowu Walenty — nie trzeba się zaraz poddawać smutkowi! może się wynajdzie i zguba, jeno westchnijcie szczerze do św. Antoniego. A może i nie wzgardzicie szklaneczką piwa odemnie?

Mikołaj sam nie wiedział co to ma znaczyć, że go naraz taka przyjaźń spotyka od sąsiada, którego miał za swego największego wroga. Toć się w głowę poskrobał i począł się niby spraszać do poczęstunku.

— Ej także, sąsiedzie! powiada Walenty — nie dajcie się tak długo prosić; sprawa sprawą, a swoją drogą możemy się dziś zabawić przy szklance i powiedzieć sobie jakie słówko.

Tak zasiedli do piwa, jeden wedle drugiego; po raz to pierwszy po tylu latach kłótni i niezgody. Uderzyli w szklanki i dopiero Walenty:

— Słuchajcie no, sąsiedzie — prawi; a siła było tych waszych pieniędzy?

— A tyle i tyle! odpowie Mikołaj i ciężko z piersi odetchnie.

— A jakież były papiery, coście je zatracili? pytał znowu pierwszy.

— A takie i takie.

— No, to widzicie że was św. Antoni wysłuchał; zguba się wasza znalazła.

— Na Boga! Walenty, co wy mówicie.

— Macie tu swoje papiery i pieniądze, przeliczcie czy są wszystkie — rzekł Walenty i położył sporą paczkę na stół przed sąsiadem.

— A mójże ty drogi! zawołał uradowany Mikołaj, spoznawszy swoją zgubę — a niechże ci Pan Jezus zapłaci! i jakże to sie stało, powiedzcie mi, proszę ja was sąsiedzie, żeć przychodzę do moich pieniędzy.

— A tak po prostu, opowiadał tamten — że ja szedł tuż za wami drogą do miasta i znalazłem to coście wy zgubili. W szkołach też nauczyłem się tyle, że sobie dziś mogę przeczytać tak na książce jak i na piśmie. Otóż po tych papierach poznałem zaraz że one do was należą. Gdybym nie miał Boga w sercu, mógłem się był na was pomścić i papiery wam zniszczyć i pieniądze zabrać; ale żem nie taki, to ich wam oddałem w całości. Bywajcież zdrowi, Mikołaju!

Już chciał odejść, ale go drugi przytrzymał za rękę.

— Stój człeku! — zawołał, i podajmy sobie ręce na zgodę. Już ja się dłużej z tobą nie myślę prawować, bo widzę żeś dusza uczciwa. Wracajmy do swoich i niechaj gromada nas rozsądzi — ja na wszystko przystaję.

— Zgoda! na to Walenty. — Uderzyli się w ręce po przyjacielsku i powrócili do wsi. Tam ich wnet pogodzono, i odtąd Mikołaj i Walenty byli sobie najszczerszymi przyjaciółmi.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**